

Zdaniem adwokata

W czasach PRL była popularna anegdota: „Na wielką budowę socjalizmu przyjechali reporterzy dziennika telewizyjnego, by zrobić wywiad o „ludziach dobrej roboty” i widzą, że jeden z robotników biega po placu budowy jak oszalały, z pustymi taczkami. Zapytali go więc, dlaczego tak sobie biega? A ten odpowiada: - Panowie, my tu mamy taki zapieprz, że nie zdążą nawet załadować”. Anegdota ta, aczkolwiek z branży budowlanej i w dodatku z minionej epoki, znajduje jednak zadziwiające przełożenie na panujący u nas, jak nigdy wcześniej, bałagan w ustawodawstwie, w którym aż roi się od bublej prawnych, tuszowanych w ramach tzw. falandyzacji prawa, a sejm RP, pochłonięty walką wszystkich ze wszystkimi, nie ma czasu, by zająć się działalnością, do której został powołany, czyli staniem w obronie dobrego prawa.

I nie chodzi tu o tak banalne sprawy, jak kompletna anarchia w służbie zdrowia, gdy każdy szpital prowadzi własną politykę: jeden pobiera opłaty według swego widzi mi się, drugi wstrzymuje przyjmowanie pacjentów, a trzeci prowadzi akcję protestacyjną. To sprawy powszechnie znane i nawet nie wypada epatować nimi czytelników. Skupmy się zatem na sprawach nie mniej istotnych, a równie kontrowersyjnych, czyli na uregulowaniu zasad przyznawania rent rodzinnych.

Wydawałoby się, że sprawa jest prosta dla każdego człowieka. Niepracująca wdowa, która w chwili śmierci męża osiągnęła wymagany wiek, ma prawo do renty po zmarłym małżonku. Sprawa jest oczywista i taka by była, gdyby nie fakt, że natura ludzka jest ułomna i nie brak było przypadków jej nadużywania. Na przestrzeni lat mnożyły się więc fikcyjne małżeństwa tylko po to, by nabyć prawo do renty.

W Ciechocinku odnotowano mnóstwo takich przypadków, gdy np. przyjeżdżający do naszego uzdrowiska wysłużony górnik, w wieku już mocno zaawansowanym, poślubiał panną w sanatorium panią po przejściach. Oczywiście zdarzało się, że był to wynik autentycznej fascynacji, ale przeważały transakcje z góry wkalkulowane. Renta rodzinna po górniku była bowiem bardzo wysoka i dzięki takiemu fikcyjnemu związkowi „wdowa” mogła potem nawet przez dziesiątki lat pobierać wysoką rentę, oczywiście kosztem podatników.

By praktykom takim zapobiec, sejm w ustawie z 17 grudnia 1998 r. o emeryturach i rentach z Funduszu Ubezpieczeń Społecznych przyjął, że renta rodzinna należy się tylko temu z małżonków, który w chwili śmierci drugiego małżonka pozostawał z nim we wspólności małżeńskiej lub miał zasądzone od niego alimenty. No i powstał bublek prawny, gdyż ustawa ta jest przede wszystkim sprzeczna z kodeksem rodzinnym i opiekuńczym oraz zdrowym rozsądkiem. Jednym słowem wylano dziecko razem z kąpielą.

By pozbawić prawa do renty fikcyjnych małżonków, wystarczyło bowiem ograniczyć krąg osób uprawnionych do tych, które faktycznie pozostawały ze zmarłym we wspólnym pożyciu i prowadziły z nim wspólne gospodarstwo domowe. Wymóg „wspólności małżeńskiej” jest tu bezprzedmiotowy, gdyż wspólność taka powstaje automatycznie, z mocy prawa, z chwilą zawarcia związku małżeńskiego, o ile nie została ograniczona, wyłączona lub rozszerzona w drodze umownej.

Konstrukcja taka nie naruszałaby więc podstaw obowiązującego prawa rodzinnego, określającego dokładnie pojęcie „wspólności małżeńskiej”, a tak mamy do czynienia z klasycznym przypadkiem psucia prawa. Obecnie funkcjonują bowiem równoległe dwa pojęcia

„wspólności małżeńskiej”, które w każdej z ustaw oznaczają co innego.

Nowelizacja ustawy emerytalnej jest zatem konieczna i to w znacznie szerszym zakresie, gdyż obowiązująca ustawa emerytalna pozbawia renty rodzinnej nie tylko osoby, które zawarły fikcyjne związki małżeńskie, ale także osoby, które np. w czasie trwania związku zostały opuszczone przez swych małżonków, samotnie wychowywały dzieci z małżeństwa, a o alimenty na siebie nie występowały, bo miały kłopoty ze ściąganiem alimentów nawet na dzieci. Nierzadko alimenty takie w ogóle wypłacał fundusz alimentacyjny.

Obecnie mamy więc taką sytuację, że osoba, która borykając się samotnie całe życie poświęciła wychowaniu dzieci z małżeństwa - nie może otrzymać renty rodzinnej po występny małżonku. Jest zatem ukarana podwójnie: przez nieodpowiedzialnego, nieżyjącego już męża i ZUS, a konkretnie sejm, który ustawę taką uchwalił.

I tu się mimo woli przypomina stara anegdota o góralu, który spotkał w lesie zmaltretowaną ofiarę gwałtu, z uwagą wysłuchał jej gorzkich żalów, po czym uśmiechając się lubieżnie podszedł do niej w celach niedwuznacznych i powiada: - *Cosik mi się widzi, że nie macie wy dzisiaj szczęścia.*

Bublek w ustawie emerytalnej jest faktem, ale bublek zdarzają się w ustawodawstwie każdego kraju. Gorzej, że u nas, zamiast bublek taki naprawić, próbuje się ustawę tę falandyzować, czyli naciągać *contra legem*, a czynią to niestety sądy. Ubiegające się o rentę wdowy są więc odprawiane z kwitkiem i już! Do Strasburga się przecież nie odwołają, bo nie mają ani zdrowia, ani czasu, ani pieniędzy na tak egzotyczne procesy. Ludzie stanowiący prawo mogą więc spać spokojnie, a że jakieś tam wdowy? To już przecież zupełnie inna historia.

Dawid Binemann-Zdanowicz